

Szabas w Lelowie

■ Lidia Wójcik

Z pejzażu polskich i ukraińskich miasteczek zmiotła ich wojna. Dziś w Polsce nie ma już chasydów – mówi Henryk Szaniewski, ostatni Żyd z Lelowa – bo polscy Żydzi mają za sobą holocaust.

Przyjeżdżają w środku zimy, w rocznicę śmierci lełowskiego cadyka – z Izraela, Ameryki, Belgii, Holandii, często zabierają w podróż dzieci, małych chłopców, którym jeszcze nie urosły pejsy ani brody. Z Warszawy jadą autokarem, po drodze odwiedzają groby innych cadyków: w Górze Kalwarii, Kozienicach, Przysusze. Potem przez trzy dni modlą się, jedzą i śpią w lełowskim domu kultury. Własne tapczany wstawiają do hali sportowej, przywożą koszerne jedzenie.

Prawie święty

Ponad dwieście lat temu żył w Lelowie Dawid zwany Leloworebe. Skromny, trochę dziecinny, ale noszący w sobie wielką mądrość i tajemnicę. Przez długi czas sądził, że nie jest godny, by nazywać go cadykiem. Lata całe stał za ladą w swoim sklepiku przy rynku lełowskim, często odsyłał klientów do innych, biedniejszych kupców. Odwiedzał Żydów po wsiach i dodawał im otuchy w ciężkich chwilach. Zbierał wokół siebie dzieci, karmił je i uczył. Potrafił godzić ludzi. Modlitwa odmówiona przez świętobliwego Dawida w miejscu-klótni przywracała zgodę. I nauczał: "Nie dostąpisz zbawienia, jeśli nie poznasz samego siebie i swoich błędów".

Rabbi Dawid nie był w swoim czasie tak słynny, jak Izrael z Kozienic, który przepowiedział klęskę Napoleonowi pod Moskwą, ani Dow Ber z Radoszyca, który wypędzał dybuka z opętanych, ani jak dynastia cadyków z Góry Kalwarii, dla których wybudowano nawet kolej. W kręgu cadyka z Lelowa skupia się dzisiaj kilka tysięcy chasydów, ich przywódca Szymon Biderman, praprawnuk Dawida z Lelowa w siódmym pokoleniu, założył swoje jesiwy w Izraelu i w USA, a w Tel Awiwie charytatywną kuchnię dla ubogich. Chasydzi uznają nieomylność rebe Szymona, ufają mu we wszystkim i czczą.

Jerzy Pałka, dyrektor lełowskiego domu kultury, dziwi się: – Cadyka Szymona traktują jak świętego, wszyscy go obsługują, a on siedzi i milczy. Od kilku lat tu przyjeżdża, ale nigdy jeszcze nie udało mi się do niego zbliżyć, ani nawet słowa zamienić. Czy ci cadycy w ogóle coś mówią – zastanawia się Pałka. Martin Buber opowiada historię, jak rabbi Mendel z Warki spotkał się ze słynnym Izraelem z Kozienic, ponad godzinę razem milczeli, na koniec orzekli: nareszcie doszliśmy do ładu.

Za sklepem żelaznym

Kiedy rebe Szymon modli się nad grobem prapradziadka Dawida, wszyscy czekają w ciszy. Na twarzach chasydów maluje się szczęście, kiedy rabbi tańczy razem z nimi w wąskiej uliczce pomiędzy Spółdzielnią Inwalidów, składem węgla i sklepem żelaznym. Szczątki Dawida z Lelowa spoczywają na zapleczu sklepu, gdzie sprzedaje się łopaty, siekiery, pługi... Chasydzi wykupili ten kącik, odbudowali grób cadyka Dawida, zamknęli za żelaznymi drzwiami. Kluczem opiekuje się Roman Utracki. – W domu stale jestem, pracy nigdzie nie ma, to co tam szkodzi klucz przechować. Przyjadą Żydzi parę razy do roku, drzwi im otworzę, dolara czasem rzucą, pomodlą się, kwitelek do cadyka napiszą i odjeżdżają.

Stanisław Orman przyszedł razem z innymi popatrzeć, jak się Żydzi modlą. Pamięta sprzed wojny, kiedy przyjeżdżali tu konno, także zimą, od Pilicy, od Szczekocin, z małymi dziećmi i śpiewali, i tańczyli wokół grobu cadyka, a domek nad grobem – pamięta – solidna podmurówka, cieniutkie ścianki i wokół stare groby, solidne rzeźbione płyty z sztylowieckiego piaskowca. Po wojnie ludzie gdzieś to wszystko roznieśli. Ale płyty były już w czasie wojny powywracane, kiedy Niemcy zabrali Żydów.

Henryk Szaniewski każdego roku przywozi ponad stu chasydów. Kiedy idzie z nimi na grób cadyka, spotyka w rynku stare kobiety powyrwane reumatyzmem i mężczyźni zmęczonych długim życiem. Nie mogą się nacieszyć, że znowu się widzą, że jeszcze żyją. – Starzy Polacy w Lelowie dobrze myślą o Żydach – mówi Szaniewski – bo mają ukształtowaną przed wojną świadomość, że żyjąc obok siebie trzeba wytrwać w zgodzie.

Roman Utracki całe życie przeżył na ulicy Szczekocińskiej, w tym samym miejscu co jego ojciec i dziad. Wzrusza się, kiedy słyszy modlitwne zawołanie i tęskne melodie chasydzkich pieśni. – Pamiętam to wszystko z dzieciństwa. Po południu w sobotę babcia często posyłała mnie do sklepu Joska Przysuchy po kaszę na niedzielny obiad. Oni przeważnie jeszcze się modlili, mówili: zaczekaj parę minut. No to czekałem, a oni jeszcze coś szepotali, kiwali głowami, potem gasili świece i szli do sklepu. Jak taki naród mógł wyginać? To byli zdolni ludzie. Chodziłem do szkoły z jednym takim, co mieszkał w Kaczej ulicy. Mosze Zylbergor, ach, jaki to był rachmistrz, 69 uczniów było w klasie, nikt nie umiał rozwiązać za-

dania, a Moszek zawsze ręką w górę. Nasz nauczyciel od rachunków klepał Moszka po ramieniu i mówił: Zylbergor, ty daleko zajdziesz. Naukę przerwała nam wojna, kiedy zaczęliśmy siódmą klasę, a Moszek nigdy już nie pojawił się w Lelowie. Pamiętam jeszcze Różę Zygielbaum, jej ojciec miał cukiernię w rynku, chodziliśmy tam na lody i wafle, zaraz obok Kłobucki miał restaurację, a dalej mieszkał bogaty Szwarc, który handlował skórą, jego córka także chodziła do naszej klasy i jeszcze Sura Księżka i Hanna Lankfus. Ach, gdzie te wszystkie piękne żydowskie dziewczyny... – Roman Utracki pociąga nosem i dyskretnie wyjmując z kieszeni chusteczkę. – Mogę jeszcze pokazać, gdzie moi dziadkowie mieli ogród, tuż obok mykwy. Jako dziecko często chodziłem tam po jabłka i zaglądałem zawsze do domku Szimula Fajkopa, bo moi rodzice żyli z nim w wielkiej przyjaźni.

Mieszkanie w łaźni

W mykwie od ponad pół wieku mieszka Janina Filewska. Razem z siostrą zgrabiały ręce przystawiają do kuchennego pieca, na którym Szmul Fajkop podgrzewał wodę do kąpieli. – Przez dwadzieścia lat spłacałam ten dom – mówi Filewska – teraz chcę przepisać wnucze. Żydzi przyszli kiedyś do mnie, chcieli odkupić mykwę, ale nie doszliśmy do sedna sprawy.

W kuchni Janiny Filewskiej podnosi się drewnianą kłapę, po kamiennych schodach można zejść do mykwy. Wpuk: zbiega po nich, wybiera kilka marchewek do zupy. – Przepaśne są te piwnice – mówi Filewska – tu były ogromne tunele, wanny, kaflami wszystko wyłożone. Żydzi myli się w czwartki, a Żydówki we wtorki, wszyscy w tej samej wodzie, jako dziecko zaglądałam przez piwniczne okienka do mykwy. Zachował się jeszcze wieszak. Tunele zabudowali, wygródzili piwnicę na kartofle. No i tyle zostało – wzdycha Filewska – na miejscu bożnicy inwalidi skracają teraz jakieś śruby. Za Lelowem, na Staromieściu był jeszcze kirkut, założony na początku minionego wieku, pamiętam, myśmy tam biegali na żydowskie pogrzeby, żeby popatrzeć jak płaczki zawadzą i włosy na głowie czochrają. Po wojnie jakiś chłop z reformy dostał kirkut, pole zaraz zaoarał i żyto zasiał.

Powroty

Niedaleko rynku miał piekarnię Langier, którego nazywano Smotruch i mało kto chciał kupować u niego chleb, bo uważano, że nie myje rąk, kiedy się zabiera do miesania ciasta w dzieży. Smotruch miał



Rabbi Szymon Biderman (w środku) idzie na grób swojego prapradziadka Dawida

cztery córki, wszystkie musiały zarabiac, przez cały tydzień szyły majtki z koronkami, koszulki z falbankami, a w poniedziałek wynosiły to wszystko na rynek. Od nich Janina Filewska nauczyła się szyc. W sieni stoi stara maszyna Singer. – Córki Langiera zostawiły na przechowanie, ciągle sprawna – mówi Filewska – może Langierówny jeszcze tu kiedy przyjadą. Paru Żydów wróciło po wojnie do Lelowa, ale zaraz powyjeżdżali do dużych miast. I Szaniewski, co tu teraz przyjeżdża z chasydami, wrócił na krótko, przechował się na wsiach. Jego rodzice mieli domek w rynku, kiedyś zapytałam go: Heniu, pewnie chciałbyś to odkupić, ale nic nie odpowiedział.

Henryk Szaniewski wraca od grobu cadyka. Chasydzi pobiegli przedem w tanecznym korowodzie. On idzie powoli, wspiera się na lasce, przystanął na skwerze w rynku, popatrzył na okna swojego – nie swojego domu, zamyślił się, łzę otarł i pokuszył za chasydami.

Po holocauście nie ma już Żydów w Lelowie – mówi Szaniewski – szóstego października czterdziestego drugiego roku żandarmeria niemiecka ze Szczekocin obstawiała ulicę wyjściową – Częstochowską, Szczekocińską oraz Na Pilicę, załadowano Żydów na wozy konne i zawieziono na stację kolejową do Chrzastowa. Tam zagarnięto jeszcze Żydów z Koniecpola, Włoszczowej, Żarek. Rano siódmego października transport odjechał do Treblik. Mnie wówczas w Lelowie nie było, młodych chłopaków żydowskich już w czterdziestym roku Niemcy zabrali do pracy przymusowej w Przyrowie. Później znalazłem się w getcie częstochowskim.

Ojciec Henryka Szaniewskiego – Josif Środa jeszcze przed pierwszą wojną skończył szkołę cukierniczą, pracował w firmie Adonis w Częstochowie, ale to było trochę zajęcie sezonowe, przed Wielkanocą i Bożym Narodzeniem. Poza tym miał się rozmaitych robót, krył dachy, malował domy, szklił okna. Miał żonę i ośmioro dzieci. Pojechali transportem 7 października. Ocalał tylko Henryk i jeden z braci, który w 1939 roku razem z grupą młodych komunizujących Żydów wyjechał do Rosji, wojnę przeżył w Workucie, a potem przeszedł szlak od Lenino do Berlina.

Przed wojną – wspomina Szaniewski – wielu młodych garnęło się do komunizmu, bo tu żyła głównie biedota, skromni żydowscy robotnicy. Większość z nich nie była chasydami. Mój ojciec był religijnym Żydem, ale nie zaciętrzewionym, niczego nie wymuszał na innych, we wszystkim słuchał rabina Janowskiego. Przed kilku laty – przebywałem akurat w Montrealu – zgłosili się do mnie chasydzi, żeby pomóc im odnaleźć miejsce, gdzie leży cadyk. Doskonale pamiętałem i niektórzy Polacy z Lelowa także przypomnieli sobie, zaczęliśmy razem kopać. Przed wojną pod ohelem była solidna podmurówka. Do cadyka przyjeżdżali Żydzi z okolicznych miasteczek, ale czasem i z bardzo daleka, z Lublina, Przemyśla, a nawet spod Lwowa, choć tam mieli innych cady-

ków. Przyjmowano ich w domach żydowskich, pobyli dzień, dwa, pomodlili się i za rok znowu wracali. Podobała mi się kiedyś ich żarliwa wiara. Sam nie jestem chasydem, a nawet dosyć dawno rozstałem się z Bogiem. Po przejściach okupacyjnych nikt, żaden rabin i nawet rebe Szymon, który tu przyjeżdża, nie umieli mi wytłumaczyć, dlaczego straciłem ponad sześćdziesiąt osób z mojej rodziny: ojciec, matka, bracia, siostry, wujenki, stryjowie, siostrzeńcy... wszyscy zginęli. Tu nie było ocalenia. Chasydzi długo próbowali mnie namawiać, żebym założył tales i tefilin do modlitwy. Ale po tym, co przeszedłem, nie umiem się już modlić, nie potrafię pisać listów do cadyka. Zawsze musiałem liczyć tylko na siebie i na dobrych ludzi, których czasem spotykałem.

W czterdziestym drugim roku Henryk Szaniewski trafił do zakładów Hassag, produkował amunicję, z której Niemcy rozstrzelali Żydów. Pomógł mu w ucieczce Polak, który był tam majstrem. Ale zaraz znowu zgłosił się do getta w Częstochowie. Była zima, zaspasy śnieżne na drogach, nie miał jedzenia, nie wiedział, gdzie się podziać. W marcu czterdziestego trzeciego został wyselekcjonowany do pracy w kamieniołomach. Po paru tygodniach akurat wywożono kamień do walcowni, skoczył na platformę i wyjechał poza obóz. – Do końca wojny przetwarzałem już na polskiej stronie. Może jednak Ktoś czuwał nad moim losem – zamyśla się – miałem wielkie szczęście, niektórym Żydom nie udało się przeżyć wśród Polaków. Ciężko o tym mówić... Strach – może to jest usprawiedliwienie. Spośród ośmiuset lełowskich Żydów przeżyło jednak ośmiu i tych ośmiu ocalili Polacy.

Janina Filewska pamięta: – Były tu takie historie, jedną Żydówkę wzięła rodzina na wieś, przetrzymali ją tydzień, a potem wyprowadzili w nocy. Ludzie się bali, ale byli jednak rodziny, które do końca wojny Żydów przetrzymały. Przez długie lata nie przyznawali się do tego, bo po wsiach chodziły różne bandy i gdyby wiedzieli, że ktoś Żydów przechował, zaraz by tam złota szukali. – Jakże tam złoto mogli mieć – zastanawia się Roman Utracki – to byli prości, biedni Żydzi, może tym chasydom, co teraz przyjeżdżają, lepiej się powodzi, skoro co roku stać ich na bilet z Ameryki.

Amerykańscy chasydzi przemierzali przy grobie cadyka. Szukają po Lelowie Szaniewskiego, bo nie wiedzą, czy ognisko można rozpalic na ulicy, dopiero co nowy asfalt położono, specjalnie na przyjazd chasydów. W końcu przynieśli parę patyków, rozpalili obok asfaltu. Trzymając się za ręce w tanecznym korowodzie krąży wokół ognia.

Przez wieki szmer tych modlitw płynął do nieba i nikomu to właściwie nie przeszkadzało – mówi Roman Utracki. – Jak bezpiecznie czuliśmy się niegdys w Lelowie, kiedy na co dzień strzegły nas takie modlitwy i cudowna moc rebe Dawida. Cóż z tego, że były to modlitwy cudzej wiary. ■

*cyt. Martin Buber – "Opowieści chasydów"



Chasydzi na ulicy Lelowa

Foto: Lidia Wójcik